

4YA

CYNTHIA MURPHY

CZEKA

C I E

ŚMIERĆ

GDYBY SPOJRZENIE MOGŁO ZABIJAĆ...
JUŻ BY NIE ŻYŁA

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2013

www.zielonasowa.pl

CYNTHIA MURPHY

CZEKA CIĘ ŚMIERĆ

PRZEŁOŻYŁA: KAROLINA POST-PAŚKO

LYA

Tłumaczenie: Karolina Post-Paško
Redaktor prowadzący: Sylwia Kurek
Redakcja: Teresa Zielińska
Korekta: Lena Marciniak-Cąkała/Słowne Babki
Opracowanie graficzne okładki i skład: Magdalena Jackowska

Text © Cynthia Murphy, 2021
First published in the UK by Scholastic Ltd, 2021
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2021
Wydanie I
ISBN 978-83-8240-031-1

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, al. Jerozolimskie 94
tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 81
kontakt@books4ya.pl
www.books4ya.pl

Londyńska Policja Metropolitalna

Protokół przesłuchania

Numer sprawy: 36926
Data: 28 czerwca
Oficer przesłuchujący: detektyw Pete Moran
Protokolant: posterunkowy Bowers
Kwalifikacja karna: ciężki uszczerbek
na zdrowiu
Miejsce zajścia: ██████████
██████████
██████████
Imię i nazwisko ofiary: ██████████
Data urodzenia: ██████████

DETEKTYW MORAN: (szelest kartek) No dobrze, panno Stevens. Czy może pani opowiedzieć, co wydarzyło się wieczorem dwudziestego siódmego czerwca?

MARY STEVENS: Ja... tak, oczywiście. Było ciemno (słysząc szloch) i... i... (szloch)

P. M.: Proszę się nie spieszyć.

M. S.: (popłakiwanie)

- P. M.: Zaczniemy od początku. Zeznała pani, że wyszła z przyjęcia, zgadza się?
- M. S.: Tak.
- P. M.: Czy była pani sama? Nie? Proszę zanotować, że panna Stevens zaprzecza ruchem głowy.
- M. S.: Na początku nie. Ale (westchnienie) ścieliśmy się z moim chłopakiem...
- P. M.: Czy doszło do fizycznego starcia?
- M. S.: Słucham?
- P. M.: Czy doszło do bójki?
- M. S.: Nie, tylko się pokłóciliśmy. I on sobie poszedł.
- P. M.: Zostawił panią samą? O... (szelest kartek) drugiej trzydzieści nad ranem?
- M. S.: (bardzo cicho) Tak.
- P. M.: Czy przypomina pani sobie, gdzie to było?
- M. S.: Tak, w pobliżu Tate Modern, niedaleko mostu Milenijnego. Widać stamtąd katedrę Świętego Pawła. Byłam wytrącona z równowagi. Nie przepadam za tamtą okolicą, zwłaszcza po zmroku, i mój chłopak dobrze o tym wie.
- P. M.: Czy to tam została pani napadnięta? Tak? Proszę zanotować, że panna Stevens kiwa głową.
- M. S.: (cicho) Tak.
- P. M.: Czy może pani powiedzieć, co zobaczyła?
- M. S.: Właściwie to nie. Już mówiłam, że było ciemno. Przykro mi. (pauza) Chyba najpierw go usłyszałam.

- P. M.: Go?
- M. S.: Chyba tak.
- P. M.: Ale nie jest pani pewna.
- M. S.: Nie, ale po co kobieta... (szloch)
- P. M.: Musimy mieć pewność. Spekulacje mogą zaszkodzić w sprawie... takiej jak ta.
- M. S.: W sprawie takiej jak ta. (pauza) A więc usłyszałam kogoś. Ten ktoś podkraśl się do mnie, ale usłyszałam zgrzyt, zanim... (szloch)
- P. M.: Zanim?
- M. S.: Zanim mi to zrobił.
- P. M.: Proszę zanotować, że panna Stevens wskazuje rany biegnące wzdłuż prawego obojczyka.
- M. S.: W pierwszej chwili nie poczułam bólu. Tylko gorąco, a potem coś mokrego. Dopiero później dotarło do mnie, że to krew. Tyle krwi...
- P. M.: Przykro mi. (szelest kartek) Ze wstępnego przesłuchania wynika, że została pani raniona czymś w rodzaju noża.
- M. S.: To nie był nóż. (bardzo cicho) To były jego... tej osoby... paznokcie. Zerwał nimi mój naszyjnik.
- P. M.: Panno Stevens, nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem.
- M. S.: Paznokcie. Paznokcie były metalowe.

(Koniec przesłuchania)



Oto i ono. Moje nowe życie. Nowy początek, zero kłopotów z chłopakami, tylko ja, wielkie miasto i moja przyszłość.

A przynajmniej tak mi się wydawało jeszcze dwie minuty temu.

– Przykro mi. Na liście nie mam żadnej Neve.

Mam ochotę udusić tego gościa, ale zmuszam się do uśmiechu.

– To po irlandzku – tłumaczę po raz siedemnasty od zejścia z promu. – Pisze się N-I-A-M-H.

– Och. – Niski mężczyzna w recepcji mojego nowego akademika mruży oczy i jeszcze raz przebiega wzrokiem po

liście. Ma na piersi wypolerowaną stalową plakietkę z imieniem Derek. – Faktycznie, tutaj jesteś. Dziwna pisownia.

Przerywa mu seria głośnych huków, a gdy się odwracam, widzę wysoką, ładną brunetkę. Sapiąc z wysiłku, taszczy w dół schodów ogromną walizkę.

– Mam taką sprawę... – zaczyna, a potem spojrzenie jej wielkich brązowych oczu pada na mnie. – Przepraszam, zaczekam.

– Nic się nie stało. – Wskazuje kontuar. – Proszę bardzo. – I tak nie ominie mnie przeprawa z recepcjonistą. To musi być coś ważnego, skoro przytargła na sam dół tę ogromną walizkę. Szybkim rzutem oka upewniam się, że w recepcji nie ma windy.

– Bardzo ci dziękuję! – Dziewczyna zostawia walizkę u stóp schodów i podchodzi do kontuaru. Nie mogę oderwać oczu od maleńkiego diamencika skrzącego się w skrzydelku jej nosa. Jest czadowy! U nas nikt nie ma przekłutego nosa, chyba że liczyć naszą sąsiadkę Carrie Duncan, która po pijanemu wbiła sobie w dziurkę od nosa wielki, okrągły kolczyk swojej mamy.

– Tak? – pyta Derek z obojętną miną. Dziewczyna nawija na palec kosmyk włosów. Biję od niej niewymuszony luz zamożnej osoby. Ma ciemne włosy poprzetykane złotymi pasemkami, a ramiączko luźnej jedwabnej koszulki zsunęło jej się lekko z jednego ramienia. Założę się o każde pieniądze, że to ciuch vintage.

– Mój pokój jest strasznie wysoko – zaczyna. – Muszę się z kimś zamienić.

Derek powstrzymuje ją gestem dłoni.

– Nie mamy wolnych pokoi – burczy. – Irlandka zajęła ostatni.

Przyjemniaczek.

– Jeszcze się nie zameldowałam – protestuję.

Dziewczyna odwraca się w moją stronę i łapie mnie za ramię.

– Na pewno?

– Eee, no nie, właśnie przyjechałam. – Spoglądam na jej dłoń zaciśniętą na moim ramieniu.

Sytuacja robi się niezręczna.

– Na którym piętrze miała mieszkać? – Dziewczyna kieruje brązowe aksamitne spojrzenie ku samozwańcemu strażnikowi pokojów, który sprawdza coś w swoim rejestrze.

– Na drugim.

Dziewczyna znów odwraca się w moją stronę.

– Idealnie! Masz lęk wysokości?

– Eee... – Prawdę mówiąc, nie wiem. Tam, skąd pochodzę, większość budynków to domki jednorodzinne, a między moim domem a Dublinem nie ma ani jednego wieżowca, w każdym razie ja żadnego nie widziałam. Ale podobało mi się stanie na górnym pokładzie promu. – Raczej nie.

– O mój Boże, masz cudowny akcent! – piszczy dziewczyna, potrząsając moją ręką z takim entuzjazmem, że wybucham śmiechem. – Zamieniłabyś się? Bardzo cię proszę. Dostałam pokój na dziesiątym piętrze, a mam koszmarny lęk wysokości. Potworny wręcz. Nawet na krzesło nie jestem w stanie wejść.

Jest... elokwentna. To chyba odpowiednie słowo. Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś tak szykownego i czarującego. W porównaniu z moim prowincjonalnym akcentem jej głos zdaje się ociekać miodem i diamentami.

– Pewnie, dla mnie bomba. – Odwracam się do mężczyzny. – A pan nie ma nic przeciwko?

– Nie interesuje mnie to – wzrusza ramionami Derek. – W takim razie oddaj Irlandce swoje klucze.

– Mam na imię Niamh – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Dziewczyna podaje mi zniszczony plastikowy breloczek, wyszczerbiony i podrapany, z którego zwisają dwa srebrne klucze. Pokój 1012. Mój pokój przez najbliższe sześć tygodni.

– Jak Neve Campbell? Ale oldskulowe imię!

– Yyy, tak – bąkam, z uśmiechem odbierając od niej klucze. Notuję w pamięci, żeby sprawdzić, kim jest Neve Campbell.

– Okej. – Derek rzuca na kontuar drugi komplet kluczy oraz plik formularzy. 215, pokój, w którym miałam zamieszkać. – Proszę się tu podpisać, a resztę wypełnić i przynieść

jutro. – Podaje mi nadgryziony niebieski długopis, który biorę bardzo ostrożnie do ręki, starając się nie dotknąć końcówki. Składam podpis i oddaję długopis. Zauważam, że Derekowi nie chciało się poprawić numerów naszych pokojów w dokumentacji, ale to chyba bez znaczenia.

– Jeszcze raz wielkie dzięki! – Dziewczyna porywa nowy komplet kluczy i tanecznym krokiem rusza w stronę swojej walizki, ale zaraz odwraca się z powrotem do mnie. – Gdzie moje maniery? Mam na imię Sara. – Uśmiecha się. – Zaniosę to na górę, a potem wrócę i pomogę ci wnieść twoje bagaże, zgoda?

– Nie trzeba. – Biorę teczkę z formularzami i zarzucam plecak na plecy. – Mam tylko to.

Na widok jej miny chce mi się śmiać.

– To wszystko, co przywiozłaś? Serio?

Kiwam głową, czując, że się rumienię. Nie miałam wielu ciuchów do spakowania, w każdym razie takich, które chciałabym zabrać do Londynu. W gumiakach raczej nie zadałabym tu szyku.

– Garderoba kapsułkowa to jest to – dyszy Sara, z głośnym loskotem stawiając walizkę na każdym kolejnym stopniu. Derek rozkłada przed sobą gazetę, ignorując dziewczynę w ostentacyjny sposób, więc podbiegam i łapię walizkę z drugiej strony. – Dzięki. Nie zdawałam sobie sprawy, ile wpakowałam do środka, dopóki nie musiałam jej wnieść i znieść.

– Naprawdę nie ma tu windy? – pytam, bo już zdążyłam się spocić.

– Jest – odpowiada niewyraźnie Sara. – Jest, ale dopiero od poziomu pokojów. Musimy tylko wejść po tych schodach i będzie już z górki.

– Całe szczęście – sapię, usiłując ukryć rwący się oddech, gdy manewrujemy w wąskiej klatce schodowej. Udaje nam się wciągnąć walizkę na kolejny podest i już myślę, że najgorsze za nami, gdy nagle tracę równowagę i lecę do przodu. Tekturowa teczka wypada mi z ręki i przelatuje nad walizką, która zahaczyła jednym kółkiem o wykładzinę.

– O nie! – Sara pada na kolana, żeby pozbierać moje dokumenty, a ja szarpie się z walizką. Gdy w końcu udaje mi się wciągnąć ją z powrotem na podest, czoło mam złane potem. Sara wręcza mi nieuporządkowany plik papierów. – Proszę – mówi z uśmiechem. – Chyba zebrałam wszystko.

– Dzięki.

Sara rusza z walizką ponurym korytarzem. Wciąż prezentuje się nienagannie, nawet się nie potargala. Ma pomalowane paznokcie u stóp, a złociste paski japoniek podkreślają jej lekko opaloną skórę. Bładozielona farba na ścianie jest wytarta na wysokości ramienia i bioder, jak gdyby ocierało się o nią wiele ciał. Spod zieleni prześwitują warstwy bieli i żółci, świadectwo przeszłości budynku.

Na końcu korytarza znajduje się winda. Sara wciska przycisk i rozlega się brzdęknięcie. Drzwi otwierają się ze zgrzytem, zapraszając nas do środka.

– Nie osądzaj mnie zbyt surowo – mówi Sara, wsia-
dając. – Wiem, że to tylko jedno piętro, ale nie dam rady
dłużej jej wlec.

– Ja też – odpowiadam ze śmiechem, zrzucam plecak
z ramion i tarabanię się za nią do windy. Drzwi nie zamy-
kają się od razu, więc przysiadam na plecaku i próbuję
ulożyć dokumenty, a Sara wciska numery naszych pięter.
Na jej palcu wskazującym skrzy się piękny diamentowy
pierścionek. Rany, ten jej niewymuszony styl, idealna mie-
szanka elegancji i modnego luzu. Zastanawiam się, czy
ja też powinnam podrasować džinsy kilkoma rozdarciami
w strategicznych miejscach.

– A więc – zaczyna Sara – na jaki kurs przyjechałaś?

– Teatralny. – Nawet nie próbuję ukryć ekscytacji
w głosie. Harowałam cały rok, żeby zaoszczędzić kasę
na te sześć tygodni, i wciąż nie mogę uwierzyć, że naprawdę
tu jestem.

– Ja też! – Drzwi zamykają się z dygotem i winda rusza
do góry. Zanim zdążymy cokolwiek powiedzieć, zatrzy-
muje się, a drzwi znów się otwierają. Sara odwraca się do
mnie. – To moje piętro. Jeszcze raz ogromnie ci dziękuję.
Gdybym musiała mieszkać na dziesiątym piętrze, nie prze-
żyłabym tego. Wcale nie żartuję.

– Nie ma za co – odpowiadam z zakłopotaniem. – Po prostu cieszę się, że tu jestem.

– To tak jak ja. – Sara waha się przez chwilę, przytrzymując drzwi, żeby się nie zamknęły. – Hej, umówimy się na rano? Jeszcze nikogo tu nie znam.

– Chętnie. – A potem wypalam: – Ja też nie znam tu żywej duszy.

– Super! – Sara z uśmiechem odsuwa się od drzwi. – Zapukasz do mnie o wpół do dziewiątej? Skoczmy na kawę przed spotkaniem powitalnym.

– Jasne. – Macham do niej przez szparę w zasuwających się drzwiach. Ciekawe, czy przez noc uda mi się polubić kawę. – Widzimy się rano.

Winda rusza ociężale ku mojemu nowemu tymczasowemu domowi, a ja uśmiecham się do własnego rozmazanego odbicia. Widzisz, Niamh, już zdążyłaś się z kimś zakumplować. Dasz radę.

Drzwi otwierają się ze skrzypieniem, ukazując spłowiały i nieco zaniedbany korytarz, podobny do tego na dole. Łapię za górny uchwyt plecaka, bo nie dam rady znów go założyć. Wlekąc go po ziemi, mijam kolejne numery, dopóki nie dotrę pod pokój 1012. Klucz bez problemu wchodzi do zamka.

Przekręcam klamkę, ale drzwi są odporne i muszę naprzeć całym ciężarem ciała, żeby się otworzyły. Wchodzę do małego, skromnego pokoju, którego jedyne

wyposażenie stanowią pojedyncze łóżko, biurko oraz szafa, która widziała już lepsze czasy.

A, jest jeszcze okno. W bonusie.

Zostawiam plecak, podbiegam do okna i przyciskam nos do szyby, podjarana jak dziecko. Przede mną rozpościera się rozmigotana panorama Londynu, widzę wielkie podświetlone budynki, których nazw nie znam. Podekscytowana wodzę spojrzeniem wzdłuż horyzontu – jak ogromne jest to miasto? Na widok Tamizy wijącej się pod moim oknem dostaję gęsiej skórki. Udało ci się, laska, myśle w duchu. Warto było harować, sprzątać stajnię i urobić się po łokcie. Jesteś tu, nareszcie tu jesteś.

Mimo podniecenia jestem totalnie skonana. Mam za sobą długą podróż i chcę się wyspać przed jutrzejszym dniem. Otwieram torebkę i wysypuję jej zawartość na biurko: minizestaw irlandzkiej herbaty w torebkach, chipsy Tayto i batoniki czekoladowe. Dzięki, siostrzyczko. Reszta mojego skromnego dobytku rozsypuje się wszędzie dookoła, ale mam to w nosie. Jestem zbyt zmęczona, a nie ma tu mamy, która mogłaby mnie ochrzanić.

O nie, zapomniałam o mamie. Wydobywam komórkę z bocznej kieszeni plecaka, gdzie ją wcześniej schowałam, i szukam ładowarki. Podłączam telefon do prądu i wpatruję się w popękany wyświetlacz, modląc się, żeby ożył. Mama mnie zamorduje, jeśli nie dam dziś znaku życia.

Ku mojej uldze ekran się rozświecła, więc szybko wstukuję wiadomość do mamy, żeby wiedziała, że dotarłam bezpiecznie na miejsce, a potem włączam tryb cichy. Kilka sekund później komórka zaczyna wibrować na porysowanym drewnianym blacie biurka, ale nie odbieram. O tej porze nie mam siły na rozmowę z mamą – jutro wstanę odrobinę wcześniej i wtedy zadzwonię. Teraz muszę się wypaść. Znajduję piżamę oraz bidon i omiatam wzrokiem pościel, zastanawiając się, ile osób spało w niej przede mną. Czy jestem wystarczająco zmęczona, żeby to olać?

Chyba tak.

Przebieram się szybko i siadam na łóżku z plikiem dokumentów, przyciskając plecy do chłodnej, nagiej ściany. Rozkładam papiery przed sobą, żeby odszukać plan jutrzejszego dnia, i odkrywam, że mam wszystko w dwóch egzemplarzach. Sara musiała pomieszać zawartość naszych teczek.

Zerkam na moją welurową piżamę, której nogawki zdobią puchate owieczki przeskakujące leniwie przez plotki.

Nie mogę zejść na dół w takim stroju.

Zaczynam sortować papiery na dwie kupki, jedną dla mnie, drugą dla Sary. Strasznie dużo tych formularzy – karta medyczna, karta meldunkowa... Gryzą mnie wyrzuty sumienia. Powinnam oddać je Sarze, żeby mogła zacząć je wypełniać. Spoglądam z westchnieniem na wesołe owieczki.

Czasami naprawdę jestem zbyt miła.

Wciskam przycisk przywołujący windę, szurając klapkami po wystrzępionej zielonej wykładzinie. Drzwi otwierają się i wchodzę do środka.

Winda ze zgrzytem staje na drugim piętrze, a mnie ogarnia lekki niepokój. A jeśli Sara poszła już spać? Może źle oceniłam sytuację? Skubiąc brzeg rozpinanej góry od piżamy, podchodzę powoli do mojego niedoszłego pokoju. Waham się przez sekundę, a potem pukam.

Cisza.

– Hej.

Podsakuję na dźwięk męskiego głosu.

– Chyba nikogo tam nie ma.

– Och. – Odwracam się, ale postać zniknęła już za rogiem. Z wahaniem pukam jeszcze raz, tak na wszelki wypadek. – Saro?

Nic.

Coś każe mi nacisnąć klamkę. Ku mojemu zaskoczeniu drzwi ustępują.

– Saro? – wołam. Cisza.

Musiała gdzieś wyjść. Chyba nic się nie stanie, jeśli wejdem tylko na chwilę, żeby zostawić formularze na jej biurku.

W pokoju Sary zasłony są szczelnie zaciągnięte i panuje mrok. Chyba rzeczywiście ma lęk wysokości, chociaż to tylko drugie piętro.

Zapach, który nagle uderza mnie w nozdrza, ma w sobie coś surowego i pierwotnego, co przyprawia mnie

o mdłości. Ostrożnie idę dalej, chociaż mój mózg głośno protestuje. Coś jest nie tak. Moje oczy powoli oswajają się z ciemnością. W mroku majaczy łóżko, na którym leży jakaś skulona postać. Jedna ręka zwisa jej bezwładnie za krawędź łóżka.

Drzwi są uchylone i gdy robię krok naprzód, snop światła z korytarza pada na łóżko. Szeroko wytrzeszczone oczy. Rozrzucone po poduszce kosmyki włosów wyrwanych z cebulkami. Smukła dłoń opadająca ku wykładzinie, z pięknym diamentowym pierścieniem na palcu wskazującym.

Po palcu powoli ścieka krew, tworząc na podłodze ciemną kałużę.

2

– Trzymasz się, Irlandko? – pyta życzliwym tonem Derek, stawiając na stole przede mną dymiący kubek. Próbuję podziękować mu skinieniem głowy, ale jestem kompletnie oziębiała. – Po takim wstrząsie najlepiej napić się herbaty z cukrem. Koi nerwy.

W milczeniu wpatruję się w wyszczerbiony brzeg kubka, a Derek odchodzi, nie przestając zachwalać zalet słodkiego naparu. Widywałam już wcześniej martwe ciała – tam, skąd przyjechałam, co miesiąc odbywała się jakaś stypa, zawsze z otwartą trumną – ale zawsze sprawiały wrażenie nierzeczywistych. Plastikowych.

Ciało Sary było wciąż ciepłe, kiedy ją znalazłam.

– Przepraszam, panno...

Skupiam wzrok na młodym ochroniarzu. Policjancie, poprawiam się w myślach.

– Hughes – podsuwam, a on zerka do swojego notesu.

– Panno Hughes – powtarza. – Jestem posterunkowy Bowers. Chciałbym zadać jeszcze kilka pytań, jeśli czujesz się na siłach.

Kiwam głową, chociaż nie mam mu wiele do powiedzenia. Na widok trupa Sary uciekłam z pokoju z krzykiem i za nic nie dałam się namówić na powrót.

– Powiedziałaś wcześniej, że zamieniłyście się pokojami ze zmarłą, zgadza się?

– Tak – chrypię. – Twierdziła, że ma lęk wysokości. A ja dostałam pokój na drugim piętrze, więc... – Słowa więzną mi w gardle.

– I nigdy wcześniej się nie spotkałyście?

– Nie.

– To dlaczego zgodziłaś się na zamianę?

Otwieram usta, żeby mu to wyjaśnić, ale przede mną wyrasta nagle Derek.

– Czy jest podejrzana?

– Słucham? – Policjant sprawia wrażenie poirytowanego.

– Czy panna Hughes jest podejrzana?

– To rutynowe pytania, proszę pana.

– Nie mam nic do... – zaczynam, ale Derek przerywa mi, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu.

– Nic więcej nie mów – ostrzega, a potem znów odwraca się do policjanta. – Bez prawnika nie odpowie na więcej pytań, rozumie pan?

Policjant czerwienieje.

– To tylko rutynowe pytania. – Kręci się niespokojnie, a do mnie dociera, że recepcjonista ma rację. *Jestem* podejrzana.

– Rutynowe, dobre sobie – zżyma się Derek. – Jeśli chce ją pan przesłuchać, to proszę ją zabrać na posterunek i przydzielić adwokata. A jeśli nie, proszę ją zostawić w spokoju. Biedaczka przeżyła ogromny wstrząs, na dodatek jest nieletnia. – Posterunkowy sprawdza coś w swoim notesie i pośpnieje. – Tego pan nie ma w notatkach? Ma szesnaście lat, a ja chwilowo pełnię funkcję jej opiekuna prawnego. O wszystkim musicie mnie informować, rozumiano? Nie ma potrzeby niepokoić jej rodziców. – Wypina pierś. – Będzie wam potrzebna moja zgoda, żeby ją dalej przesłuchiwać.

Oczy prawie wychodzą mi z orbit.

– Czy to prawda? – Policjant kieruje pytanie do mnie, ale widzę, że przemowa Dereka wywarła na nim ogromne wrażenie. Kiwam głową, nie rozumiejąc nawet połowy z tego, co zostało powiedziane. Derek moim nieoczekiwanym wybawcą? – W porządku – poddaje się funkcjonariusz. – Pozostaniemy w kontakcie.

Wychodzi z holu, a ja gapię się na Dereka, który puszcza do mnie oko.

– Zamknij buzię, żeby ci muchy nie nawpadały, i dopij herbatę, Irlandko.

– Mamo, nic mi nie jest, naprawdę. – Trzymam słuchawkę lekko odsuniętą od ucha i obojętnie patrzę przez brudną szybę budki telefonicznej, podczas gdy mama ostrzega mnie przed niebezpieczeństwami Wielkiego Miasta i grozi, że wsiądzie w następny samolot do Londynu. Derek zrobił, co w jego mocy, żeby ją uspokoić, i nie wspomniał, że to ja znalazłam Sarę, ale nie docenił nadopiekuńczości prawdziwej irlandzkiej matki.

– Niamh, chcę, żebyś wróciła. Jedna noc poza domem i już ktoś zginął. Został zamordowany. Matko Przenajświętsza, co za szczęście, że tobie nic się nie stało.

– Wiem – mamroczę. Staram się o tym nie myśleć. – Ale chcę zostać. Teraz jest już bezpieczniej. Przenieśli nas do innego akademika. I mamy ochronę.

– Mowy nie ma, nie zgadzam się... – Znów odsuwam słuchawkę od ucha i przyglądam się graffiti zdobiacemu wewnątrz budki. Ale tu cuchnie. Jak ludzie mogli korzystać z takich miejsc, zanim pojawiły się komórki? Są klaustrofobiczne i obrzydliwe. Ale moja komórka wylądowała się rano już po dwóch minutach. Uchylam drzwi, zapieram je stopą, a wolną ręką szukam płynu dezynfekującego do rąk.

– Mamo – przerywam potok jej wymowy, bo telefon wydaje ostrzegawczy dźwięk – zaraz skończą mi się

drobne. Zostaję tu. Zbyt ciężko pracowałam, żeby się poddać, jeszcze zanim na dobre zaczęłam.

– Niamh...

– Proszę.

Mama fuka do słuchawki i wiem już, że tę potyczkę wygrałam.

– W porządku, ale gdyby nie to, że babci znów się pogorszyło...

– Wiem. Jak ona się czuje?

Mama wzdycha.

– Bez zmian. Niedawno nie rozpoznała twojego taty.

– Och, mamó. Tęsknię za nią.

– Wiem, kochanie. Przykro mi. Posłuchaj mnie teraz. Masz natychmiast oddać telefon do serwisu i dzwonić codziennie do domu. Tata wyśle ci pieniądze na naprawę, dobrze?

– Dobrze.

– Ja nie żartuję. Codziennie, Niamh Marie. I od czasu do czasu zadzwoń do siostry. Bez ciebie dostaje kota, czym doprowadza nas wszystkich do szalu. Obiecujesz?

– Obiecuję.

To niewygórowana cena za możliwość pozostania w Londynie. Chociaż myśl o powrocie do naszego miasteczka jest w tej chwili bardzo kusząca. Tęsknię za wszystkimi. Ale nie powiem tego mamie.

– Kocham cię, Niamh.

– Ja też cię kocham, mamusiu. Pozdrów ode mnie tatę i powiedz Meghan, że później wyślę jej kilka zdjęć.

– Pa, kochanie... – Połączenie się urywa, a ja nie mam już więcej drobnych.

– Pa – szepczę do słuchawki, zanim odłożę ją na widelki. Wpatruję się w milczący telefon. Czy dobrze robię? Czy powinnam tu zostać? Wcieram w dłonie obfitą porcję płynu dezynfekującego, żalując, że oprócz zarazków nie usuwa także wspomnień.

Głośnie stukanie w szybę niemal przyprawia mnie o zawał serca.

– Skończyłaś już? – Wysoki, niechlujny chłopak mierzy mnie gniewnym spojrzeniem spomiędzy długich, przetłuszczonych kosmyków.

– Tak, jasne. – Otwieram drzwi. – Proszę bardzo. – Chłopak burczy coś pod nosem i przepycha się do środka. Ci miastowi. Co za chamstwo. – Nie ma za co – mrużę półgłosem, zarzucam torbę na ramię i przechodzę na drugą stronę spokojnej ulicy. Wilgotne dłonie marzną mi lekko w porannym wietrze.

Oto i ona. Londyńska Akademia Teatralna. Szary betonowy budynek, imponujący i staroświecki zarazem. Po tym, co wydarzyło się rano, zapisywanie się na kurs teatralny wydaje mi się niemądre, wręcz lekkomyślne. Próbuję przekonać samą siebie, że Sara tego właśnie by chciała.

Prawda?

– Marsz! Tak, tak, tak, maszerujecie! Stanowczo! Zdecydowanie! Jakbyście dokądś szli!

O Boże. Popelniłam straszliwy błąd.

Marszczę brwi i maszeruję na drugi koniec pomieszczenia. Czy właśnie tak spędzę najbliższe sześć tygodni? Maszerując? Kiedy dostałam się na jeden z najbardziej prestiżowych kursów aktorskich w Wielkiej Brytanii, nie przypuszczałam, że będę chodzić w kółko po ponurej sali. A gdzie scena? Garderoby? Scenariusz?

Wszystko, tylko nie maszerowanie.

– Stop – ryczy Joanne, prowadząca. Jej głos kontrastuje z posturą – jest drobna i musiała być kiedyś tancerką. Stopy ma nieustannie zwrócone na zewnątrz, a włosy ściągnięte w schludny koczek. – Niech każdy znajdzie sobie miejsce. A teraz postarajcie się skurczyć, wyobraźcie sobie, że jesteście nasionkiem ukrytym w ziemi.

Zerkam na pozostałych uczestników kursu. Dwa-dzieścioro nastolatków kuli się w pozycji embrionalnej. Upewniam się, że jestem odwrócona pupą do ściany, żeby pierwszego dnia nie pokazać nikomu majtek. Co mnie podkusiło, żeby włożyć na warsztaty T-shirtową sukienkę? Następnym razem wybiorę legginsy.

– A teraz rośnięcie! Unosicie wysoko ręce i wyciągacie gałęzie ku słońcu...

Znów rozglądam się dookoła, obserwując wymachujące w powietrzu ramiona i skierowane ku sufitowi twarze.

A ja narzekałam na maszerowanie.

Cierpię w milczeniu do końca zajęć, które wydają się trwać całą wieczność i mają na celu „przelamanie lodów”. (Serio, komuś naprawdę się to podoba? Masakra). Oddycham z ulgą, gdy zostaje ogłoszona przerwa na lunch, bo od przyjazdu nie zjadłam porządnego posiłku. Ale dzięki porannym warsztatom przynajmniej mogłam się czymś zająć.

Jednak w tym momencie nie mogę przestać myśleć o Sarze, o tym, że powinna tu teraz być i razem ze mną przewracać z niesmakiem oczami. Jej oczy. Za każdym razem, gdy mrugam, widzę pod powiekami wielkie, wytrzeszczone oczy Sary. Potrząsam głową. Przestań. Spróbuj o tym zapomnieć.

Ruszam za innymi do niewielkiej kafeterii, ale jedzenie mają drogie, czego nie przewidziałam. Powinnam się przynajmniej czegoś napić, więc kupuję colę, mając w pamięci teorię Dereka na temat cukru. Wczoraj zachował się wspaniale, czym mile mnie zaskoczył. Mam nadzieję, że przenieśli go do recepcji nowego akademika.

Przy stolikach utworzyły się już niewielkie grupki, a ja staram się sprawiać wrażenie, że wiem, co robię. Chcę już uciec do łazienki, żeby nie siedzieć samej, gdy jakaś dziewczyna, drobna blondynka przy jednym ze stolików, macha do mnie. Chyba ma na imię Jasmine.

– Cześć! – Wskazuje miejsce obok siebie. – Niamh, tak? Usiądź z nami.

Oddycham z ulgą i wślizguję na koniec ławki. Przy stoliku siedzi dwóch chłopaków i jeszcze jedna dziewczyna z warsztatów. Chłopcy witają mnie skinieniem głowy. Dziewczyna uśmiecha się do mnie, a potem spuszcza wzrok i studiuje uważnie opakowanie zbożowego batonika.

– Masz cudowny akcent – oznajmia Jasmine, kładąc drobną dłoń na moim ramieniu. Od razu przypomina mi się Sara i w gardle rośnie mi gula. – Moja prababka była Irlandką. – Kiwam uprzejmie głową. A czyja nie była?

– Dzięki – mamrocze, żalując, że nie zwiłam do łazienki. Obok filigranowej Jasmine czuję się jak olbrzymka. Przyglądam się festiwalowym bransoletkom na jej nadgarstkach, ciekawa, ile ma lat. Mama zabroniła mi jeździć na festiwale, dopóki nie skończę osiemnastu – chyba że liczyć festiwal muzyczny w Kilkenny. – Fajne bransoletki.

– Dzięki. To z zeszłych wakacji. – Pociąga lyk z bidonu. – Było super.

Kiwam głową, nie wiedząc, co jeszcze mogłabym powiedzieć, więc za jej przykładem wypijam trochę coli.

– No to powiedz nam, Niamh – zniża głos do teatralnego szeptu i omiata wzrokiem pozostałe osoby przy stoliku, jak gdyby chciała się upewnić, że ma widownię – czy to prawda?

– Co takiego? – pytam, nie rozumiejąc.

– No wiesz – szepcze Jasmine, nachylając się tak blisko, że czuję orzeźwiający zapach jej cytrusowego szamponu.

Uświadamiam sobie, że reszta stolika umilkła i też mi się przygląda. – Że znalazłaś trupa.

Zamieram. Ona tak na serio?

– Jas, daj spokój – prosi siedząca naprzeciw mnie dziewczyna od batonika, ale Jasmine nie daje za wygraną.

– Usłyszeliśmy o tym dziś rano. – W jej głosie słychać ekscytację. – Czy to prawda? Naprawdę znalazłaś w akademiku martwą dziewczynę? To dlatego wszyscy musieli się przeprowadzić?

– Tak – odpowiadam i od razu tego żałuję.

– Ściemniasz! – Jasmine prawie wystrzela ze swojego miejsca. Łapie mnie za ramiona, a mnie serce wali tak, jak zwierzęciu, które musi sobie odgryźć łapę, żeby uciec z potrzasku. – Wciskasz nam kit!

– Jasmine! – Dziewczyna naprzeciwko odkłada opakowanie batonika i kręci głową. – Przestań.

– Wyluzuj, Tasha. – Jasmine rzuca jej gniewne spojrzenie i kontynuuje przesłuchanie. – Wszyscy mówią, że została zamordowana. To prawda? Widziałaś coś? – Robi wielkie oczy i odsuwa się nieznacznie. – O mój Boże. Jesteś podejrzana?

Oczy zachodzą mi łzami. O nie. Tylko nie tutaj.

Nie mogę się teraz rozplakać.

Bąkam, że muszę już iść, i wstaję gwałtownie z ławki. Stolik odsuwa się ze zgrzytem, a za plecami słyszę loskot otwartej butelki z colą uderzającej o blat, ale za

nic w świecie tam nie wrócę. Ocierając łzy, biegnę do najbliższej łazienki, gdzie zamykam się w kabinie i siadam na pokrywie sedesu.

To musi być najgorszy pierwszy dzień w historii.

Wstrząsający mną szloch powoli słabnie i przechodzi w lekką czkawkę, dopóki nie oprę się o ścianę, uruchamiając automatyczną sopluczkę. Podskakuję ze strachu, co wywołuje kolejną fontannę łez. Może powinnam posłuchać mamy. Dać sobie z tym wszystkim spokój.

Odrywam kawałek papieru z podajnika i osuszam nim twarz, chociaż nie mam pojęcia, po co usiłuję ocalić makijaż. Biorę głęboki, drżący oddech, staję na trzęsących się nogach i otwieram drzwi, lecz zastygam na widok postaci przy umywalkach. Nie słyszałam, żeby ktoś wchodził do łazienki. Twarz dziewczyny zasłaniają długie, ciemne włosy, ale gdy podnosi głowę, rozpoznaję koleżankę Jasmine, Taszę.

Właśnie próbuje zetrzeć z białej koszulki na ramiączkach brązową plamę.

– O, cześć. – Tasha łowi moje spojrzenie w lustrze. – Wszystko gra? Wybiegłaś tak nagle.

Wskazuję jej koszulkę.

– Przykro mi, nie chciałam...

– Hej, nie przejmuj się. Szkoda tylko, że nie oblałaś przy okazji Jasmine. – Uśmiecha się ze współczuciem. – Paskudnie się zachowała.

– No. – Myję powoli ręce, namydlając starannie każdy palec. Przed oczami miga mi zakrwawiona dłoń Sary.

– A więc to prawda – szepcze Tasha. – Przepraszam – dodaje szybko. – Wcale nie jestem lepsza od Jas. Nie musisz nic mówić.

Wzdycham. Czy właśnie to mnie czeka, jeśli zostanę? Będę dziewczyną, która znalazła trupa?

– Spoko – odpowiadam. Równie dobrze mogę położyć kres domysłom. Wyciągając papierowe ręczniki z podajnika, napotykam jej wzrok w lustrze. – Tak, to prawda. Miała na imię Sara. Poznałam ją wczoraj wieczorem, a potem... – Słowa więzną mi w gardle, opieram się o ścianę.

– A potem ona zginęła? – szepcze Tasha. Kiwam głową, a po policzku spływa mi gorąca łza.

A potem ona zginęła.

– Tak mi przykro.

– Tak. – Co jeszcze mogę powiedzieć? – Właściwie jej nie znalazłam, ale wydawała się sympatyczna.

Tasha potrząsa głową.

– Nikt nie zasługuje na taki koniec. Czy mają pewność, że to nie było... no wiesz...

– Co, samobójstwo? Nie. – Przelykam ślinę.

Na chwilę zapada cisza.

– Naprawdę mi przykro, że cię pochlapałam – mówię. – Proszę. – Szperam przez chwilę w torbie i wyciągam z jej dna wymięty czarny sweterek. Jest usiany błyszczącymi

guziczkami, które zdobią także mankiety rękawów. Jeszcze ani razu go na sobie nie miałam, a kosztował niemało – kupiłam go specjalnie na wyjazd do Londynu. – Jest czysty, tylko trochę się pogniótł. Możesz go pożyczyć. Powinien na ciebie pasować.

– Jesteś pewna?

– Jasne, bierz.

Tasha uśmiecha się szeroko i znika w kabinie, z której wychodzi z mokrą koszulką w ręku. Wpycha ją do kieszeni torby, po czym prostuje się, żeby podziwiać swoje odbicie w lustrze.

– Jest śliczny! – Muska palcem aksamitną lamówkę. – Oddam ci go jutro, słowo.

– Do twarzy ci w nim. – Uśmiecham się blado.

– Idziesz? – Tasha wskazuje głową drzwi.

Waham się.

– Pójdę z tobą – proponuje Tasha i zaraz przyjmuje pełną dramatyzmu pozę – ale tylko pod warunkiem, że pomaszerujesz „stanowczo i zdecydowanie”.

Uśmiecham się szeroko i ruszam za nią. Może nie będzie aż tak źle.



Popołudnie jest nawet znośne. Żadnych warsztatów, przed nami tylko wykład o tym, co będziemy robić przez kilka najbliższych tygodni.

Wchodzimy gęsiego do sali. Czekaając na prelegentów, ucinam sobie pogawędkę z Tashą. Od razu czuję do niej sympatię. Pochodzi z małego miasteczka na północy Anglii i też rozpaczliwie pragnęła wyrwać się stamtąd w jakieś bardziej ekscytujące miejsce. Wiem, że nie jestem jedyna.

W pomieszczeniu jest ciepło, światła są przytłumione. Na tle wielkiego ekranu kursanci z ubiegłych lat dzielą się swoimi doświadczeniami z praktyk. Walcząc z sennością,

ślucham rudej dziewczyny, która opowiada o odgrywaniu różnych zwierząt przed turystami w londyńskim zoo. Dobry Boże, nie pozwól, żeby wysłali mnie tam na praktyki. Mamy dostać przydział w ciągu kilku najbliższych dni.

– Hej. – Tasha szturcha mnie w ramię, a ja orientuję się, że prawie zasnęłam. Podaje mi swój telefon. – Wpisz swój numer. – Wyciągam z torby własną komórkę i pokazuję jej potrząskany wyświetlacz. Krzywi się.

– Po zajęciach muszę ją oddać do serwisu, żeby mogła dzwonić do domu – szepczę. – Moja mama odchodzi od zmysłów.

– Ciekawe dlaczego – kpi Tasha. – Przecież tylko odkryłaś morderstwo.

Już mam jej coś odpowiedzieć, ale ucisza nas dziewczyna z rzędu przed nami. Tłumiąc chichotanie, z powrotem skupiamy uwagę na rudej absolwentce, która z dumą dzieli się z nami cenną życiową lekcją, jaką odebrała, udając tygrysa.

Żegnam się z Tashą i idę do pobliskiego serwisu telefonów, który dla mnie wygooglowała. To tuż za rogiem. Serwisant obiecuje naprawić komórkę do końca dnia, ale zamykają dopiero za trzy godziny, więc postanawiam wrócić do kafeterii i przeczytać wreszcie materiały na kurs.

Wchodzę do środka i przy barku kawowym w rogu sali dostrzegam Jasmine otoczoną wianuszkami kursantów.

Wszyscy trzymają wielorazowe kubki z kawą i głośno krytykują brak „prawdziwych” wegańskich potraw w menu. Zanim Jasmine mnie zauważy i zmusi do przypomnienia sobie najgorszego momentu w moim życiu, skręcam w najbliższy korytarz i trafiam pod podwójne drzwi opatrzone tabliczką z napisem „Biblioteka”.

Świetnie.

Popycham wielkie drewniane skrzydło i mijam szarą bramkę antykradzieżową strzegącą wejścia. Wnętrze jest mroczne i nieco ciasne, ale od razu czuję się tu bezpieczna, jakby otulona kokonem. Uwielbiam biblioteki.

Po lewej mijam biurko, przy którym wypożycza się książki, podchodzę nieśmiało do stołu na środku pomieszczenia i przesuwam palcem po ogromnym, obitym skórą blacie. Stół otaczają rozklekotane drewniane krzesła. Krótkie schodki prowadzą na piętro, gdzie za drewnianą balustradą stoją wielkie biblioteczne regały. Spoglądam w panujący na górze mrok, nie mogąc się nadziwić, jakie są wysokie i ile książek mieszczą, gdy nagle spomiędzy półek wyłania się wysoka, patykowata postać, przyprawiając mnie o przyspieszone bicie serca.

– Och! – Przyciskam dłoń do żeber, zza których dochodzi głośnie dudnienie. To ten sam koleś, który wcześniej wyprosił mnie z budki telefonicznej. Teraz też mierzy mnie gniewnym, nieprzyjaznym spojrzeniem. W górnym świetle jego ciemne włosy, wiszące w tłustych strąkach, kontrastują

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.**

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl